

WSZECHŚWIAT

TYGODNIK POPULARNY, POŚWIĘCONY NAUKOM PRZYRODNICZYM.

PRENUMERATA „WSZECHŚWIATA.”

W Warszawie: rocznie rs. 8

kwartalnie „ 2

Z przesyłką pocztową: rocznie „ 10

półrocznie „ 5

Prenumerować można w Redakcyi Wszechświata i we wszystkich księgarniach w kraju i zagranicą.

Komitet Redakcyjny stanowią: P. P. J. Aleksandrowicz b. dziek. Uniw., K. Jurkiewicz b. dziek. Uniw., mag. K. Deike, mag. S. Kramsztyk, Wł. Kwietniewski, W. Leppert, J. Natanson i mag. A. Ślósarski.

„Wszechświat” przyjmuje ogłoszenia, których treść ma jakikolwiek związek z nauką, na następujących warunkach: Za 1 wiersz zwykłego druku w szpalcie albo jego miejsce pobiera się za pierwszy raz kop. 7¹/₂, za sześć następnych razy kop. 6, za dalsze kop. 5.

Adres Redakcyi: Krakowskie-Przedmieście, Nr 66.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI.

*

*

*

Zgon Chałubińskiego dotknął wszystkich.

Mało kto był tak znany, ceniony, szanowany, kochany.

To też wszystkie pisma nasze wszelkich odcieni jednozgodnie odezwały się, oddając hołd należny jego pamięci. Wobec tylu natchnionych i wymownych głosów trudno by coś dodać do tak powszechnych wyrażen uznania i żalu dla człowieka, obywatela,

la, uczonego i lekarza. Pomimo to, jako jeden z najdawniejszych, a może i najbliższych jego kolegów, pragnę wspomnieniem przebytych z nim chwil wpleść chociaż skromny listek do wawrzynów, na grobie jego złożonych.

Z powodu krótkości czasu, oddzielającego datę śmierci Chałubińskiego od daty wyjścia poprzedniego numeru naszego pisma, Redakcyja nie mogła uczcić pamięci wielkiego zmarłego obszerniejszem przypomnieniem jego zasług i znaczenia. Redakcyja uprosiła obecnie najbliższych świadków działalności Chałubińskiego w różnych epokach życia i na różnych polach o skreślenie wspomnień osobistych o Nim i przedstawienie we właściwych barwach owoców Jego pracy, a w ten sposób zebrany materiał stanowi właśnie treść dzisiejszego numeru Wszechświata. (Przyp. Red.).

Przeszło już pół wieku temu, bo w roku 1838, spotkaliśmy się poraz pierwszy w sali wstępnej konferencji Akademii medycyko-chirurgicznej w Wilnie. Zakłopotany nieprzewidzianą koniecznością zdawania egzaminu z trygonometrii, zwierzyłem się z tem Chałubińskiemu, który krótko, treściwie i jasno przypomniał mi główne twierdzenia trygonometryczne i do przystąpienia do egzaminu ośmielił.

Dłaczego spomiędzy kilkunastu obecnych tam rówieśników, przed innymi, zbliżyłem się z całym zaufaniem do Chałubińskiego,

to pojmie każdy, kto kiedykolwiek go widział. Posiadał on już wówczas ten urok, który przez całe życie odrazu jednał mu przyjaciół, życzliwych i wielbicieli. Ten nieoceniony dar natury, ta postać przyciągająca i sympatyczna, pokrywała, a raczej ujawniała złote serce i szlachetny charakter.

Zbliżyliśmy się serdecznie, a w następstwie widywali często, najwięcej wieczorami, bo Chałubiński od świtu zwykł był wybiegać w góry Ponarskie, nad brzegi Wilejki i Wilii aż do jeziora Trockiego i całe dnie w lasach, po polach i łąkach przebywał. W murach było mu ciasno i dopiero na otwartem powietrzu pełną piersią oddychał.

Gdyby wówczas istniał gdzie wydział przyrodniczy w uniwersytecie krajowym, Chałubiński z pewnością nie byłby wybrał powołania lekarza. Przed innemi pociągały go nauki przyrodnicze, a głównie botanika. Wzorem dla niego był Cienkowski, a towarzyszem wycieczek Poluta.

Po dwu latach pobytu w Wilnie, nastąpiło zamknięcie Akademii wileńskiej i nieliczna garstka kolegów postanowiła dalsze studia odbywać w Dorpacie. Tu obowiązani byliśmy składać „examen philosophicum”, a Chałubiński był jednym z wielu, którzy bardzo mało umieli po niemiecku. Miałem wówczas sposobność wywdzięczenia się za trygonometrię, ułatwiając mu przygotowanie się do niemieckich egzaminów. Podziwiałem łatwość, z jaką w ciągu kilku tygodni przyswoił sobie możność wyrażania się w obcym mu dotąd języku. Fenomenalna pamięć, bystre pojmowanie i niezłomna wytrwałość w pracy, pozwalały mu postępować szybko i innych prześcigać.

Zaledwie poznał język niemiecki, Chałubiński z zapalem jął czytać autorów niemieckich, a przede wszystkim z dziedziny filozofii. Przestudyjowawszy historię filozofii, ze zwykłym zapalem wziął się do Descartesa i Spinozy, do Leibniza i Lockego, Kanta, ulubionego Herbarta, Condillaca, sławnego wówczas Hegla. Naszych autorów w dziedzinie filozofii: Śniadeckiego, Trentowskiego, Kremera i Libelta nie przeceniał, a później w komitetach byłej Rady

wychowania nieraz ubolewał nad brakiem przygotowania filozoficznego i pociągu do tej dziedziny nauk w naszej młodzieży. Nie szło mu o ostateczne wyniki badań filozoficznych, ale o gimnastykę myśli logicznej i wyrabianie krytycznego sądu.

Wkrótce Chałubiński wrócił do botaniki i mineralogii, zmuszony jednak koniecznością obrania zawodu praktycznego, oderwał się od tych zajęć; z silnem postanowieniem ukończenia i dopełnienia nauk lekarskich udał się do Würzburga. Tu znowu przy niezłomnej wytrwałości w pracy osiągnął stopień doktora medycyny, z którym do Warszawy powrócił.

Chałubiński, podczas nauk w Wilnie i w Dorpacie, żył jak anachoreta. Środki jego były niezmiernie szczupłe, ale i potrzeby niewyszukane. Przytem zawsze wesół, dowcipny, uprzejmy i dzielny pozyskał u wszystkich kolegów przyjaźń i powagę. Wypoczynek od pracy znajdował w muzyce. Grał bardzo biegle na fortepianie, a dzieła Chopina wykonywał z mistrzowskim uczuciem.

Znalazłszy się w Warszawie bez środków utrzymania, Chałubiński wziął się do pracy literackiej i dla zarobku przetłumaczył wykład botaniki Jussieugo. Pracując w szpitalach warszawskich, odrazu zbliżył się szczególnie z Dworaczkiem, który jako pokrewny duchem i dążnościami, gorąco się do niego przywiązał i przygotował sobie w nim następcę, jako lekarza szpitala ewangelickiego. Mały ten szpital, któremu przewodniczyli znakomici zawsze współcześni lekarze i który dlatego posiadał poważną tradycję, postawił Chałubińskiego odrazu na oczy publiczności i dał mu sposobność wykazania swego naukowego znaczenia. Odtąd wziętość jego, jako lekarza praktycznego, rosła nieustannie, a grono młodych kolegów otaczało go przy wizytach, korzystając z jego uwag, metod badania chorego i sposobów leczenia.

Była to epoka, kiedy ówcześni młodzi lekarze wprowadzali w użycie sposoby fizycznego i przedmiotowego badania, a walcząc z polyfarmacją i krwi chciwym Broussaizmem, szanowali usiłowania lecznicze organizmu i ograniczali popęd do lekowania. Wśród takich okoliczności wyrobił

sobie Chałubiński uznanie i powagę i przy otwarciu Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie głos opinii publicznej wskazywał go na profesora kliniki. Tu, a następnie w Szkole głównej otworzyło mu się obszerne i wdzięczne pole działania. Chałubiński, jako professor, nie był oratorem, ani doktrynerem. Wykład jego był jasny i treściwy; przy łóżku chorego nauczał sumiennie, ściśle i naukowo badać, odróżniać objawy uboczne, przygodne od podstawowych, a w zawiłych przypadkach znajdować stronę najważniejszą, ku której winny być skierowane działania lecznicze. Dla młodzieży nie tylko był nauczycielem, ale przewodnikiem, doradcą i opiekunem, a często bardzo dobroczyńcą. Zaskarbiał sobie jej miłość i przywiązanie i zyskał wielką dla swego zdania powagę. Chałubiński nikogo nie naśladował, ale naśladowało go wielu. Tym sposobem stworzył szkołę i wykształcił całe pokolenie lekarzy. Wspierał radą i czynem nowo wstępujących do zawodu lekarskiego.

Uprzejmy dla chorych, zarówno dla biednych jak dla zamożnych, spółczujący w ich cierpieniu, umiał zyskiwać ich ufność i wzbudzał nieograniczoną wiarę w zalecane środki, umiał nieraz jednym słowem wlewać otuchę, cierpliwość i nadzieję. Odgadując charakter i usposobienie chorego, wiedział, kiedy można pobłażać, a kiedy wypada energicznie nacisnąć, aby chory spełnił, co mu zalecono. To też wierzyli mu i ufali bez granic i poddawali się surowym nieraz przepisom bez szemrania. W tej sztuce poznawania charakterów, w tej niepospolitej zręczności wyzyskiwania swe-

go wpływu na korzyść chorego leżała część powodzenia jego leczenia.

Przy ogromnej swój praktyce Chałubiński nie zrobił majątku. Od biednych nie przyjmował, nienarażając ich na upokorzenie, tak, że zdawało się, iż mu łaskę robią, przyjmując jego rady; rozdawał szeroką ręką swoim i nie swoim, a dla celów społecznych był zawsze szczodrym. O wszystkich pamiętał, tylko nie o sobie.

Postępowanie jego z kolegami było zawsze wzorem dla innych. Nie dawał nigdy uczuć swą wyższości, ale ją wszyscy uznawali. Nie miał zawistnych, pomimo, że powodzenie i wyższość zwykle zawiść wzbudzają. Wszystkim wydawało się, że mu się to powodzenie słusznie i bezspornie należało. Swego zdania nie narzucał, a umiał przekonywać. Przecząc, nigdy nieczyjjej miłości własnej nie drasnął.

Jego obywatelska i społeczna działalność jest powszechnie znana, a są jeszcze świadkowie jego usiłowań w ciężkich chwilach dla powszechnego dobra. Nieziszczone nadzieje, złamane dążenia osiadły ciężką chmurą na jego czole i od owego czasu Chałubiński zamykał się coraz więcej w sobie, uciekając od pracy praktycznej do uroczych zakątków Tatr, gdzie, dopóki mógł, oddawał się badaniom przyrody. Nie wyniosłe palmy, nie wytworne kwiaty go nęciły, ale skromne i zagadkowe mchy na naszych górach go zajmowały.

Bodaj młodsze pokolenia, zapatrując się na ten wzór, wydały godnych zastępców Chałubińskiego.

Dr Ludwik Natanson.

*

Umiejętności przyrodnicze, tak ściśle wiążące się z racjonalną znajomością objawów życiowych każdego jestestwa uorganizowanego, słusznie uważane są dziś za niezbędną podstawę nauki lekarskiej. Stanowisko to swoje zawdzięcza one świetnym postępom, dokonany w bieżącym stuleciu. Wydoskonalenie mikroskopu, rozwój nie-

zmierny chemii, pod względem mianowicie związków węglowych, stanowiących niezliczoną prawie ilość bliższych czy odleglejszych składników ciała zwierzęcego i roślinnego, wykrycie licznych szeregów ciał dodatnio lub ujemnie działających na ustroj zwierzęcy, udoskonalenie wreszcie wszechstronne różnych metod badania, da-

ły klucz do należytego zrozumienia, tak z jednej strony, budowy anatomicznej ustrojów, jak z drugiej, do głębszego wniknięcia w naturę spraw ich fizycznych i chemicznych, warunkujących istotę życia. Cała dziś wiedza lekarska o przyrodzie zdrowych czy chorych tkanek ludzkiego ustroju, wszelkie śledzenie prawidłowego czy wadliwego jego rozwoju i bytowania, polega na umiejętnym użyciu mikroskopu i całego szeregu badań fizycznych i chemicznych. Dzisiejsza anatomia patologiczna, bakteryjologia, fizjologia, chemia fizjologiczna i lekarska, są świetnymi nabytkami w dziedzinie umiejętności lekarskich, zdobytemi dzięki rozwojowi przyrodoznawstwa, rozzszerzeniu i udoskonaleniu metod badania, pierwotnie obmyślanych przez przyrodników. Nie więc dziwnego, że obecne szkoły lekarskie, oceniając korzyści, jakie umiejętności przyrodnicze przynoszą adeptom medycyny, uważają je za niezbędną wiedzę lekarskiej podstawę.

Nie tak wszakże było przed pięćdziesięciu laty. Szczupła jeszcze stosunkowo podówczas wiedza przyrodnicza nie przedstawiała dla lekarza swą treścią, opisową raczej niż badawczą, tak poważnego znaczenia i przy specjalnych jego studiach za balast niejako mniej potrzebny uważaną była. Sztuka lekarska rozwijała się przeto swojemi wtedy, oddzielnymi drogami, niewiele oglądając się na powolne zdobycze na przyrodniczej osiągniane niwie. Wszelako i wówczas już spotykamy wyjątkowe osobistości, dopatrujące koniecznego związku między wiedzą przyrodniczą a lekarską. Jako jutrzeńka podobnego zwrotu, zjawia się gienijalna na swoje czasy „Teoryja jestestw organicznych” naszego wielkiego lekarza-chemika, Jędrzeja Śniadeckiego. Daleko już później ukazują się epokowe prace, jak traktat o jajku zwierząt ssących i człowieka Karola Baera, nauka o komórce Schwanna, Patologija celularna Virchowa; po nich następuje cały szereg licznych dzieł, w których umiejętność lekarska coraz więcej idzie ręką w rękę z przyrodoznawstwem.

Zgasły przed niewielu dniami nieodżałowanej pamięci Tytus Chałubiński, był lekarzem-przyrodnikiem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie pojmował on możliwości

głębszej wiedzy lekarskiej bez gruntownych zasad przyrodniczych, a trudno dziś przesądzać, czy w młodzieńczych studiach swoich kierowany był pierwotnie żywiej przyrody zamiłowaniem, czy też rozpoczynając już studia lekarskie, wielce krytycznym umysłem swoim dopatrywał niebawem niezbędności gruntownego przyrodniczego przygotowania dla każdego młodzieńca, pragnącego na niewzruszonej podstawie oprzeć przyszłą wiedzę lekarską. Prawdopodobnie obadwa te motywy wpłynęły na kierunek, za jakim poszedł, tak w ciągu pracy swojej uniwersyteckiej, jak i następnie, przez ciąg całego swego, tak świetnego lekarskiego zawodu. Bo jakkolwiek po ukończeniu w 1838 roku nauk gimnazyjalnych w Radomiu, zapisał się w poczet uczniów medycyny byłej wileńskiej medyko-chirurgicznej akademii, a po zwinieniu jej przeszedł w tymże charakterze na uniwersytet dorpucki, to jednakże w Dorpacie studyjował przeważnie nauki przyrodnicze, a nie medycynę. Tam też po zdaniu egzaminów w 1842 roku uzyskał stopień kandydata nauk przyrodniczych. Ulubioną z nich była dlań podówczas botanika, a pierwszą jego poważniejszą pracą naukową, była rozprawa z tej właśnie gałęzi przyrodoznawstwa, napisana dla pozyskania owego stopnia naukowego, ogłoszona w tomie 3-cim Biblioteki Warszawskiej z 1843 roku.

Rozprawa ta nosi tytuł: „Historyczny przegląd mniemań o płciowości i sposobie zapładniania się roślin”. Celem jej, według słów autora, zamieszczonych we wstępie, jest wykazanie postępowego rozwoju pojęć o płciowości roślin i przedstawienie w głównych zarysach rozmaitych teoryj, usiłujących wyjaśnić sam akt zapłodnienia. Historyczne przeglądy tej kwestyi, znajdujące się w dziełach zagranicznych, autor uważa bądź za zbyt pobieżne, bądź za zbiory luźnych faktów i zdań, dokonane bez żadnej krytyki, a nadto nie zna dotąd ani jednego dzieła, któreby obejmowało wyniki prac najnowszych. Tym wszystkim tedy niedostatkom, stara się zapobiedz w miarę możliwości, wyłączając z pracy swojej rośliny skryptopłciowe, bo wszystko, co wówczas o mniemanej ich płci podawano, było pomysłem z fantazyi czerpanym. Ogranicza-

jąc się tedy na roślinach jawnokwiatowych jedynie, z niepospolitą w młodym uczonym erudycją i krytycyzmem zestawia wszelkie poglądy dotychczasowe, dotyczące traktowanej sprawy, poczynawszy od najdawniejszej starożytności, aż do ostatnich czasów. Dzieje nauki o zapładnianiu się roślin, dzieli na trzy okresy, z których w pierwszym podaje mniemania starożytnych i ich następców, do końca XVI wieku; w drugim rozwój idei o płciowości, do końca pierwszej ćwierci XIX wieku; w ostatnim na koniec wykład przygotowania do teorii Schleidena i rozwój tej teorii do ostatnich czasów. Wszędzie w miarę potrzeby przytacza własne słowa autorów, dla gruntowniejszego osądzenia ich zdania przez czytelnika, wszystko zaś oświeśla logicznym i wytrawnym swym sądem, przyznając ostatecznie Schleidenowi rozwiązanie jedną z najważniejszych w botanice kwestyi. W tej pierwszej swojej pracy naukowej, Chałubiński zwiastuje już ów gruntowny, a dzielny i krytyczny umysł, którym wszystkie prace całego żywota jego odznaczać się miały.

Po takim dopiero przygotowaniu młody przyrodnik udaje się w tymże 1842 roku do Würtzburga na specjalne studia lekarskie. Tu z żelazną wolą i niesłychaną wytrwałością, stale go cechującami, dnie całe spędza w klinikach, a nocę nad księgami. Pamiętamy, jak nam niejednokrotnie za powrotem do kraju opowiadał o owych swych zajęciach, że w ciągu dwu lat nie było prawie doby, w którejby pracował krócej niż dziewiętnaście godzin. Nic więc dziwnego, że w końcu już 1844 roku, po zdaniu egzaminów lekarskich i publicznem obronieniu rozprawy „O moczu ze stanowiska fizjologicznego i patologicznego”, uzyskał stopień doktora medycyny.

Po zwiedzeniu następem wielu słynnych klinik europejskich, młody lekarz przybył na początku 1846 roku do naszego miasta, dotąd prawie sobie obcego. Przedewszystkiem, dla uzyskania prawa praktyki, potrzeba tu było powtórzyć egzaminy przed miejscowymi władzami lekarskimi, a co większa, zapewnić sobie chleb codzienny wobec wyczerpania szczupłych funduszy rodzinnych na studia zagraniczne, zanim go da przysłała praca zawodowa. Znakomitemu

niebawem praktykowi przysłała tu z pomocą miła mu niegdyś botanika. Bo oto w pierwszych miesiącach jego wśród nas pobytu, znajdujemy go w ubogiej celce po-pijarskiej, służącej mu za mieszkanie, dzielącego swój czas między zwiedzaniem miejscowych szpitali i przygotowywaniem się do egzaminów, a pracą nad przekładem „Wykładu botaniki” Adryjana Jussieugo, jednego z trzech podręczników szkolnych do historii naturalnej, przyjętych w Paryżu przez tamtejsze władze edukacyjne za klasyczne, wydawanych zaś w przekładzie polskim nakładem kilku ludzi dobrej woli, których staraniem i Biblioteka Warszawska wychodziła. Przekład ten ukazał się na widok publiczny w 1849 roku i długo służył ucząc się młodzieży, jako podręcznik botaniczny. Dokonany wzorowo, mieścił on w sobie wiele nowych terminów naukowych polskich, poraz pierwszy wprowadzonych przez tłumacza.

Ale niebawem nastąpiły dla naszego przyrodnika-lekarza dni pogodniejsze, rozpoczynające długi okres świetnego jego lekarskiego zawodu, którego dzieje i znaczenie kompetentne tu skreślą pióra. My pójdziemy wyłącznie za przyrodniczymi jego zajęciami. W kilka lat tedy, kiedy wziętość jego jako lekarza szybko wzrastając zapewniła mu już byt dostatni, widzimy w nim rozbudzony nowy kierunek przyrodniczy. Pojmując bowiem doskonale, jak ważną dla lekarza rzeczą jest dokładna znajomość najróżnorodniejszych odczynów chemicznych, zachodzących pomiędzy rozmaitemi ciałami prostymi, czy złożonemi, a jak wielką odczyn te w sprawach żywotnych zdrowego czy chorego ustroju odgrywają rolę, jak dzielną pomoc przy dyjagnostyce wielu chorób niesie analiza chemiczna, Chałubiński postanawia gruntownie przestudjować naukę chemii, stać się zręcznym i biegłym analitykiem. Pracownie chemiczne poza obrębem ówczesnego gimnazjum realnego nie istniały wtedy dla osób, pracować w nich pragnących, wypadało więc stworzyć własne laboratorium. Ale stanowczy umysł Chałubińskiego nigdy żadną nie zrażał się przeszkodą. Więc niebawem jedna z mieszkalnych jego komnat zmienia się w pracownię chemiczną, zaopatrzoną kosztem kil-

ku tysięcy rubli w odpowiednie piece, wentylacje, kąpiele piaskowe, suszarnie i wszelkie przyrządy najnowszej konstrukcji do manipulacji i rozbiórów chemicznych, obok mnóstwa przetworów i odczynników. Tu przez lat kilka żarliwy przyrodnik, po całodziennej pracy z chorymi w szpitalu i na mieście, po parugodzinnych poobiednich konsultacjach, udzielanych licznie zbiegającym się na nie tłumom, zamyka się stale wieczorem i nieraz długo po północy pracuje jako chemik-specjalista. Nie pomija, bez starannego przestudyjowania, ani jednej karty obszernego i klasycznego podówczas dzieła Grahama-Otto, ani jednej nie przepuszcza reakcji, zamieszczonej w wybornym podręczniku analizy jakościowej Freseniusa, ale wszystkie sam przerabia i obeznaje się z nimi gruntownie. Nawet z traktatem Plattnera w rękę przeprowadza całą metodę analityczną dmuchawkową. A męczącą i wieloletnią tę pracę nazywa miłym wypoczynkiem i wytchnieniem dla ciała i umysłu, znużonego codzienną pracą fachową.

Podobnego rodzaju wypoczynku i rozrywki pozwalał sobie niezmordowany ten pracownik i w innych jeszcze kierunkach przyrodniczych przez długie okresy czynnego swego żywota. Po wystudyjowaniu chemii, żywy i cheiwy coraz nową wiedzę przyrodniczą umysł jego mniej znowu znanego sobie poszukiwał zajęcia. Odwiedzając piszącego te słowa w krótkich swych, wolnych od zajęć chwilach i zastając go często pracującego nad minerałami, zaintrygowany powoli temi, tak różnorodnymi i nieraz wielce osobliwymi utworami przyrody, prawie zupełnie dotąd sobie obcymi. Ten brak w obszerną już jego znajomości przyrody dolegał mu widocznie, choć dawał się przecież całkowicie usprawiedliwiać w bijologu. Ale będąc już biegłym botanikiem i chemikiem, zapragnął zostać jeszcze i mineralogiem. Zapytał więc, jaką drogą dojść można najłatwiej do pierwszej podręcznej naukowej kolekcji minerałów i jakie najlepsze istnieją podręczniki do studyjów nad nimi, a w parę miesięcy później z właściwym sobie zapałem zasiadł do nowej dla siebie pracy, której znowu długie poświęcił lata. Nauczył się obcej sobie

dotąd krystalografii, a biegłość przedtem nabyta w analizie chemicznej i badaniach dmuchawkowych dzielną mu stała się pomocą przy oznaczaniu przyrody nieznanych mu dotąd ciał kopalnych. Mineralogija stała się teraz istotną jego namiętnością, której odtąd wszelkie wolne poświęcał chwile. A ponieważ gruntowna znajomość tej umiejętności niemożliwą jest bez obszernego zbioru mineralogicznego, gromadził go więc skwapliwie, nie szczędząc na to ogromnych, jak na prywatnego amatora, kosztów. Wszystkie jego teraz zagraniczne wycieczki miały na celu zwiedzanie gabinetów mineralogicznych, zaznajamianie się ze specjalistami i posiadaczami słynniejszych zbiorów, poszukiwanie cennych okazów u pierwszorzędnych handlarzy ciałami kopalnymi, jak niemniej i w kopalniach, czy miejscowościach, słynnych swymi bogactwami mineralnymi. Nie cofał się też nigdy przed wydatkiem doraźnym paruset franków za jeden niewielki, byle rzadki okaz danego minerału. Skromny w swych osobistych potrzebach nie znał miary w zaspokojeniu żądzy swjej naukowej. W wędrowce przeszłej po Harcu, z piszącym te słowa odbywaną, za jeden okaz stefanitu dawał właścicielowi w Andreasbergu dwadzieścia frydrychsdorów. Dowiedziawszy się o świeżo odkrytej kopalni nowej odmiany epidotu Knappenwand, w południowo-tyrolskiej dolinie niższego Sulzbachu, za pierwszą sposobnością udał się tam, a zaznajomiwszy z właścicielem kopalni kupił u niego owych nowych epidotów, o kryształach niewidzianej dotąd istotnie wielkości i piękności za półtora tysiąca guldenów. To też tak wspinał się epidoty Sulzbachskie, jakie się w jego kolekcji znajdują, znaleźć tylko można w cesarskim zbiorze mineralogicznym w Wiedniu i w muzeum narodowym Petersburskim.

Wobec podobnej ofiarności i amatorstwa dziwić się nie można, że zbiór mineralogiczny zapalonego mineraloga zwiększał się i bogacił z każdą jego wycieczką poza granice kraju. Niezmierne też w tym względzie usługi nieśli mu zamożni a wdzięczni pacjenci o rozległych stosunkach, którzy znając jego zamiłowanie, starali się na swoją rękę zdobywać po świecie osobli-

wości mineralogiczne; by mu je składać w upominku. Tym sposobem w ciągu długich lat szeregu wytworzyła się kolekcja niezmiernie cenna, stanowiąca ulubioną naukową rozrywkę zmarłego, zredukowana przez niego ostatecznie do 3 000 wyborowych okazów. Nie możemy tu szczegółowo wyliczać zawartych w niej skarbów mineralogicznych i musimy poprzestać na pozbieżnej ledwie wzmiance o niektórych, sumiennie wszakże stwierdzić możemy, że znając większą część istniejących obecnie europejskich zbiorów mineralogicznych państwowych czy prywatnych, mało z tych ostatnich znany takich, któreby nie liczbą wprawdzie, ale doborem i rzadkością okazów przewyższały zbiór po zmarłym pozostały. Mieszczą się w nim bowiem takie typy, jakich za drogie nawet pieniądze dziś dostać niepodobna, bo dostarczające ich niegdyś kopalnie, oddawna już nie istnieją. Sam zbiór oddzielnych kryształów różnych gatunków mineralnych, pod względem swój krystalograficznej rozmaitości i rzadkości, doskonałego wykończenia i wymiarów, może istotny wzbudzić zachwyt w specjaliście. Znajdujemy tu wszystkie postaci krystaliczne dyjamentu; większą część form kwarcu, opisanych w klasycznej monografii tego minerału, skreślonej przez Des Cloizeaux, całe szeregi różnorodnych postaci foremnych spatu ciężkiego, spatu wapiennego, celestynu, siarki, korundu, epidotu, idokrazu, granatu, spatu polnego, topazu, berylu, miki, turmalinu, aksynitu, kasyterytu, siarkowych związków srebra, miedzi, teluru, kryształy autymonitu, złota i srebra rodzimego, oraz wielu innych. Z grup krystalicznych mamy znowu doborowe i rzadko dziś napotykane okazy spatów ciężkich z Saksonii, Przybramu, Kremnicy węgierskiej i Felsőbani, liczne białe i niebieskie celestyny z Herrengundu, świetne grupy dyjoptazów, topazów i turmalinów różowych syberyjskich. Wiele gatunków mineralnych, które zwykle w gabinetach spotyka się pod postacią zbitą, lub których dla ich obecnej wartości nie spotyka się wcale, znajdujemy tu w przepysznych kryształach. Z pierwszych wspomnimy tylko o takich naprzykład realgarach i aury pigmentach w wielkich kryształach z Tajowy i Nagyagu,

z drugich o niespotykanym dziś letsomicie, z dawno nieistniejącej już kopalni Mariana w Siedmiogrodzie, którego tu aż pięć mamy okazów. O cenności tego minerału nadmienimy tylko, że okaz jego znajdujący się w uniwersyteckim gabinecie mineralogicznym, a pochodzący z zakupionej jeszcze przed 1830 rokiem kolekcji radcy górniczego Beckera z Drezna, oceniony był przez tegoż podówczas na 60 talarów.

Ostatecznie zbiór mineralogiczny pozostały po zmarłym, stanowić może ozdobę najpierwszego muzeum europejskiego i byłoby niepowetowaną dla krajowej nauki stratą, gdyby zbiór ten przejść miał w cudzoziemskie ręce.

Kiedysmy przed trzydziestu zgórą laty z Chałubińskim i kolegą Aleksandrowiczem, zawędrowawszy poraz pierwszy do nieznanego prawie podówczas świata Zakopanego, pięli się po stromych tatrzańskich turniach podziwiając dziką ich wspaniałość, nie przypuszczaliśmy wtedy, że najdzielniejszy i najsilniejszy z nas, złoży kiedys u ich podnóży osiwiałą przedwcześnie pod brzemieniem pracy i mokołów głowę. Nawskroś peotyczna dusza jego po wielu latach ulubowała sobie ten wabny swą grozą górski zakątek, umiłowała nieskażoną dawniej mieszkańców jego prostotę. Od lat też kilkunastu Chałubiński obrał sobie Zakopane na stałą letnią swoją siedzibę. Nie będziemy tu rozwodzić się nad tem, czem stał się on dla niej. Ale szukający tam wypoczynku po całorocznych ciężkich trudach lekarz, cywilizator i dobroczyńca mało komu znanych górali tatrzańskich, nie zapomniał też o tem, że w swych wolnych od zawodowej pracy chwilach bywał stale niezmordowanym badaczem przyrodnikiem. Więc przebiegając codziennie szczyty i parowy górskie zbierał przez długie lata mchy tamtejsze, by zebrany w porze letniej materiał opracować naukowo w ciągu długich zimowych wieczorów za powrotem do Warszawy. I oto znowu widzimy go przez długi szereg lat, jak ze słynną bryjologiją Schimpera w ręku, schylony nad mikroskopem, bada mchy swoje, porównywa, opisuje, rysuje, mieniając tę nową mokołną pracę najmilszym swym po dziennych trudach wypoczynkiem. Owocem jęj była

naprzód obszerna monografia jednej z rodzin mchów liściastych, p. t. „*Grimmieae tatrenses, ex autopsia descripsit et adumbravit dr. T. Ch.*“, obejmująca opis szczegółowy 28 gatunków do tej rodziny należących, z 18 tablicami litografowanymi kosztem autora, zamieszczona w tomie II Pamiętnika Fizyjograficznego z 1882 roku, a nadto w oddzielną wydana odbitkę. Monografią tą napisał on po łacinie, jako w ogólnym języku naukowym, aby przystępną była dla specjalistów wszelkiej narodowości. Miejscowości tylko, właściwe każdemu gatunkowi, szczegółowo wskazane są po polsku. O znamienitej wartości naukowej tej pracy, świadczą chlubne listy przesłane autorowi przez pierwszorzędných dziś europejskich bryjologów. Przewidując, że wiek podeszły nie pozwoli mu już na podobnie szczegółowe i wyczerpujące opisanie innych rodzin mchów przez siebie zebranych, a chcąc jednakże zaznaczyć zasługi swoje oddane florze tatrzańskiej, ogłosił w 1886 roku w tomie VI tegoż Pamiętnika Fizyjograficznego, również w języku łacińskim z polskim wymienieniem miejscowości, spis wszystkich mchów liściastych przez siebie w Tatrach zebranych, obejmujący 422 gatunki, p. t. „*Enumeratio muscorum frondosorum tatrensium hucusque cognitorum*“, z dodaniem szczegółowej karty Tatr, na której naznaczone są wszy-

stkie miejscowości w samem wymienione dziele.

Jako miłujący gorąco społeczeństwo swoje obywatel, odczuwał żywo Chałubiński każdą sprawę, dotyczącą wychowania krajowej młodzieży. W ulubionych sobie umiejętnościach przyrodniczych widział on dzielny środek pedagogiczny, rozwijający władze jej umysłowe i dlatego ilekroć zjawiały się pewne dążności reformatorskie programatów szkolnych, zawsze przedstawiał gdzie należało, silnie i gruntownie motywowane pod tym względem przekonania. Memoryjał jego o znaczeniu pedagogicznem nauk przyrodniczych w wychowaniu młodzieży, czytany na jednym z posiedzeń ogólnych piątego zjazdu przyrodników i lekarzy z 1877 roku w Warszawie, zyskał ogólne i głośnie uznanie.

Będąc od lat czterdziestu kilku codziennym niemal świadkiem przyrodniczej pracy nieodżałowanego przyjaciela, czuliśmy się w obowiązku dać wierne o niej świadectwo. Ulubioną botaniką rozpoczął on i zakończył pracowity swój żywot, a gdyby ktoś nam zarzucił, że prace jego nad chemią i mineralogiją nie wniosły nic nowego do ich skarbcza naukowego, to jednakże nie zaprzeczy, że botaniczne zapewnią mu nazawsze więcej niż poczesne miejsce w gronie polskich przyrodników.

Karol Jurkiewicz.

*

*

*

Czynności ściśle pedagogiczne należą do tych, które po sobie wyraźnych śladów nie pozostawiają. Każda praca naukowa, chociażby najmniejszą posiadała wartość, pozostaje przynajmniej w spisach bibliograficznych; nauczanie samo, nieraz ważniejsze daleko od niej, literackiej pracy, pozostaje tylko we wdzięcznej pamięci uczniów, dopóki i stamtąd przez czas nie zostanie zgładzone. Z tych wszystkich zasług ważnych, jakie na rozmaitych polach pracy społecznej położył prof. Chałubiński, najważniejszymi wydają mi się właśnie jego zasługi nauczycielskie. Klinika miała

wyrobić dobrych lekarzy, a w tym celu przyzwyczaić ich do sumiennosci i rozumnego zdawania sobie sprawy ze swojego działania. Chory musiał być zbadany i opisany z tą ścisłością, z jaką naturalista opisuje przedmiot swych badań; trzeba było wykazać związek pomiędzy pojedyńczymi objawami choroby i tak cały obraz ująwszy w jedną całość, można było przystąpić do rozumnego ułożenia planu postępowania.

Pod względem tej uwagi na leczenie zwracanej, klinika prof. Chałubińskiego różniła się od wielu innych. Były czasy, szkoły istniały, gdzie leczeniu podrzędną

przyznawano rolę: nie wierzono w skutki leczenia i lekceważono je. Lekarz miał być wyłącznie badaczem i uczonym, a chory zdawało się, że po to tylko do lekarza się zwraca, ażeby nowy przedmiot dla jego studyjów stanowić. Prof. Chałubiński bardzo wysoko stawiał czysto praktyczną, leczniczą działalność; całą owszem czynność lekarza i umysł jego w tę stronę kierował. Nie powinno być dla lekarza przypadków przepadłych, nieuleczalnych, a więc niegodnych uwagi. Jeżeli życie człowieka tylko o minutę przedłużyć może, albo ulżyć jego cierpieniom, to już lekarz ma pole dla działalności i tryjumfy odnosi.

Prof. Chałubiński nigdy swoją nauką i długoletnią praktyką nie imponował studentom. Obudzić samodzielność myślenia, urobić metodę, która wszakże nie miała być narzuconą, ale z rozumem ucznia zupełnie się zgadzać i z niego prawie wypływać: to była zasada główna i bardzo konsekwentnie przeprowadzona w wykładach klinicznych prof. Chałubińskiego. Metoda ta pozostać miała na zawsze, jakimkolwiek poglądy na chorych mogły ulegać zmianom i jakimkolwiek zdobyczami miała nauka potęgę lekarza z bogacić. I głośna zasługa prof. Chałubińskiego na tem właśnie, nie na z bogaceniu erudycji uczniów polega.

Ani z książek, ani w pracowniach lekarz w swoim zawodzie właściwym wykształcić się nie może zupełnie. Niewszystkie drobne szczegóły objawów klinicznych dadzą się w książkach pomieścić, a przedewszystkiem cały sposób wzięcia się do chorego, ułożenia objawów i praktycznego zastosowania wiadomości tylko bezpośrednio od jednego lekarza do drugiego przechodzi. Tę tradycją lekarską przechowują kliniki i lekarza praktycznego klinika tylko urabia. Wykład kliniczny powinien nadawać i nadaje piętno całej późniejszej praktycznej działalności, a w zawodzie, który tak mało,

jak lekarski kontroli podlega, wyrobienie metody, wzwyczajenie do ścisłości i sumiennego przejścia się obowiązkami zawodu, ma pierwszorzędne znaczenie. Z wyjątkiem owych epok zboczenia pojęć, gdzie o właściwym zadaniu lekarza się zapomina, najważniejszym przedmiotem wykładu, oraz wydziału lekarskiego jest klinika, której wpływ na umysły powinien być przeważającym. Takim właśnie czystym a świetnym klinicystą był prof. Chałubiński. Co pomijał w wykładach, tego doskonale od innych profesorów i w pracowniach student mógł nabyć; czego zaś jedynie w klinice nauczyć się można, tego właśnie uczył prof. Chałubiński.

Wykład prof. Chałubińskiego nie był łatwy. Często wśród wywodów zbaczał na oddalone pole; nieraz z jednego przedmiotu na drugi przechodził, ale zawsze potem do tego samego punktu zawracał, z którego wyszedł. Trzeba było myśłą biedz za słowami, a zarazem pamiętać do czego zmierzają; nie był to wykład dla słabszych umysłów i z natężoną uwagą potrzeba było go słuchać. Ale też uwagę w najwyższym stopniu umiał Chałubiński przykuwać. Wykład tak był świetny, tak logiczny, że zawsze zajmował, nigdy nie nużył. Był w tych wykładach pierwiastek niezmiernie ważny, który określić trudno, a który wykładom właściwy urok nadawał. Profesor był gorąco przedmiotem swoim przejęty, miłował go, mówił z zapałem, a to umiłowanie i ten zapał udzielały się uczniom. Słuchano wykładów w głębokim milczeniu; każda lekcja była niejako biesiadą, a każde opuszczenie lekcyi przez profesora z żalem przyjmowali studenci. Wiadomo jak gorąco uczniowie profesora Chałubińskiego o mistrzu swoim się wyrażali; a takiego w uczniach zapału nigdy nie budzi profesor, który sam na przedmiot swój zapatruje się bez zapału.

Zygmunt Kramsztyk.

*

*

*

W jedynych drukowanych, a może i jedynych spisanych notatkach z wycieczek w Tatry, prof. Chałubiński mówi:

„Dobraliśmy sobie dziesięciu walnych górali”.

„Dla Boga, a pocóż tyle! No naturalnie

dlatego, aby nam było weselej. Bylibyśmy może wzięli i więcej, ale już i pozorów brakło do tego”.

A dalej, spisując rozmaite tej wyprawy zdarzenia, między innemi, powiada:

„...Coraz mniej trawy, a coraz więcej nagich głazów; czujemy to nogami, bo dojrzeć już nic nie można; dobrze ciemno, spokoj wokoło, muzyka i śpiew przycichły, ale idzie się rzeżko; obecna chwila nie troszczy nas wcale i to właśnie tłumaczy dotykalny, zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł. Wielkie słowa przyrody, sama ta nawet cisza wśród drzemających granitowych olbrzymów, przemawia do nas, podnosząc serce i krzepiąc do trudów i boleści życia”.

„Ileż to razy wśród ponurych lub ciężkich chwil życia błysnie ci obraz tak uroczych wspomnień, że te same wspomnienia orzeźwią cię i pokrzepią”.

W słowach tych maluje się w zupełności, jego stosunek do natury tatrzańskiej i góralskiego ludu, — wyrażają one te głębokie, wewnętrzne, ściśle z organizacją człowieka związane pobudki jego czynów.

Prof. Chałubiński nie był sportsmanem, który dla mody, ambicji, o zakład lub z tytułu należenia do jakiegoś Alpen-Clubu, wdziara się na szczyty, traktując to jako spełnienie zadania, wynikającego z pobudek zewnętrznych i którego cel ostateczny nie leży w zadowoleniu najistotniejszych potrzeb własnej duszy.

Jego stosunek do Tatr i górali opierał się na wielkiej, głębokiej sympatii psychicznej.

Przez czas pobytu w Tatrach zatapiał się on w ich naturze, żył z jej życiem i życiem ludu, który jest z niemi tak zrośniętym, jak czarna powłoka porostów z granitem wirchów; między nim a tym światem górskim zachodziła subtelna i ścisła łączność, a jego dusza nurzała się w tych wrażeniach aż do zapamiętania się.

Ci, co go widzieli na wycieczkach, opowiadają o jakimś stanie dziwnego podniecenia, w którym się znajdował i dzięki któremu — nie niejedząc; nieodpoczywając — przetrzymywał najcięższych górali i kiedy wszyscy inni towarzysze padali poprostu ze znużenia, on, przed nocą wdzierał się

jeszcze na jakiś szczyt, palący się resztkami wieczornej zorzy.

Spśród nędz życia, ze sfery męczących zagadnień chwili, uchodził on w świat górski, ten wielki, nigdy „nieprzeznany” świat, który całą niezliczoną różnorodność swoich obrazów i zjawisk wyraża z taką nadzwyczajną siłą, jasnością i prostotą i których potęgą zdolną jest zrównoważyć lub zatrzeć bardzo nawet silne wrażenia, wyniesione z innych sfer życia.

Był on tak obeznany z tą naturą górską, z jej wyrazem, jej osobowością, jej wyłącznem, szczególnem pięknem, tak zmiennem, tak ciągle innem, że dostrzegał i zapamiętywał najsztudniejsze tych zjawisk odcienie.

On wiedział, kiedy kosodrzewina jest w najbogatszym stroju, kiedy i w jakich porach dnia i stanach pogody różne wirchy przedstawiają swoje osobiste, szczególne cechy i jaka dolina kiedy mieni się blaskami światła, znał on to, co stanowi wyraz życia przyrody, jej rozmaite nastroje, usposobienia, jak znał i lubił szczególnie charakter ludu góralskiego w tem, co stanowi jego najbardziej zasadniczy pierwiastek.

„Pomimo, że idziemy w górę, już pierś swobodniej oddycha, zdaje się, że za każdym krokiem sił przybywa, a raczej, że cię skrzydła jakieś nawpół unoszą, bo istotnie nogi nie czują ciężaru ciała. Skrócamy czas muzyką. Mamyż-bo muzykę dobraną. To tęskne, dzikie, a tak urocze dźwięki staroświeckiej pieśni, którą Sabała (Jan Krzeptowski), z nienaśladowanym przez żadne młodsze siły, akcentem wygrywa. To znów rzeżkie, różnorodne, z całego podhala zebrane pieśni i tańce, które Bartek Obrokta, niewątpliwy talent, biegłym smyczkiem wyrzyna. Instrument Sabały jest rozpaczliwy, powiedziałbyś niemożliwy prawie. Nie są to bowiem skrzypce, ale, jak on je zowie, „gęsliki”.

„Mimo największej biegłości grajka, niepodobna tu uniknąć nieraz skrzypienia lub dojmującego pisku. A jednak w górach muzyka ta nie tylko nie razi, ale jest pożądaną, upragnioną. Jest ona harmonijnem dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń. Tak jak wprawny taternik zapominać musi o nierówności drogi, o skałach za-

wadzających jego krokom; jak nie odwróci jego uwagi od cudnych efektów światła, od śmiałych konturów dzikiej turni, jakieś przejście, wydające się mniej wprawmemu już „karkołomnem”; jak głód i pragnienie, upał lub zimny, nieraz przeszywający wiatr nie zmniejszy uroku tych majestatycznych obrazów, tak samo wadliwość konstrukcji owęj gęśli, jakiś ton ostry i zbyt przenikliwy, nie zatrze głębokiego wrażenia melancholijnej, ale bujnej pieśni dawnych „zbójników”, lub ochoczej, skocznej lubo nieco wrzaskliwej melodyi nawpół dzikich juhasów”.

Prof. Chałubiński posiadał w najwyższym stopniu te przymioty fizyczne i psychiczne, które dają możność zupełnego i swobodnego używania przyjemności obcowania z naturą tak nieujarzmioną, dziką i wrogą, jaką jest tatrzańska.

Nie każdy będzie patrzył spokojnie na lwa niezamkniętego w klatce i nie każdy może z całą swobodą i jasnością umysłu przyglądać się obrazom, wisząc nad przepaściami, naprawdę bezdennymi dla człowieka, któremu by się usunęła na cal noga, ponieważ nimby dna dosięgnął, rostrzaskałby się w proch i parę o skały.

To też we wszystkich opowiadaniach o wycieczkach tatrzańskich czuć albo strach, albo pozowanie na spokój, albo zachwyt nad sobą i sytuacją, w której się znajdowało.

W opowiadaniu prof. Chałubińskiego, nad strasznymi przepaściami unosi się jego uśmiech jasny i spokojny, dobroduszny humor.

Widzi on całą grozę przepaści i całą trudność położenia i pozostaje sobą.

To jest właśnie ta naturalna odwaga, siła elementarna, która daje możność człowiekowi robić w chwili niebezpieczeństwa to tylko, co jest właściwe i potrzebne, niewytrącając jego duszy z normalnego stanu.

Oto jeszcze wyjątek z opowiadania prof. Chałubińskiego:

„....Pod „Zmarzłym” rozmyślamy się. Przez Zawrat już się tyle razy chodziło, czyby nie można przejść szczelinką między Kozim Wirchem a Granatami? Jakiś tam żlebik świeci w górze śniegiem. Sprobujmy”.

„— Eh! znam ja ten żlebik — rzecze Szymek — bom tamtędy raz od Pięciu Stawów chodził”.

„Przy indagacyi pokazało się, że przed wielu laty dźwigał tamtędy tęgiego kozła na plecach, a miał dobre powody do obrania tej romantycznej drogi”.

„— A puści tam?”

„— No, puści przecie, puścić musi, ale kto to wie, jak tam teraz wygląda.— Wdrapaliśmy się po mokrych, śliskich, mchem obrosłych progach pod ów śnieg”.

„Żlebik stromy, śnieg podmyty, ale z pomocą rąk i nieledwie zębów, wyrębując tu i owdzie schody w zmarzłym śniegu, dostaliśmy się do szczyrbiny. Tu naprzód wita nas gwałtowny, mroźny wiatr, że na nogach utrzymać się trudno. Spójrzjmy w dół, gdzie schodzić trzeba — prostopadła wąska przepaść, zawalona zatrzymującami się w zwałach i zakrętach kamieniami”.

„— No, nie słodko coś wygląda!”

„Szymek i Wojtek Roj spuszczaają się naprzód, zsuwając i zwalając w przepaść ogromne zaległości głazów, aby nam potem z góry na głowę nie spadły. Ślimak zostaje przy nas w odwodzie. Józek zostawiony jest własnemu przemysłowi. Utorowano kilkanaście stóp, spuszczaamy się w otchłani. Józek na końcu. Nasi przewodnicy oczyszczają drogę niżej, my czekamy. Po kilku minutach znów opuszczamy się trochę niżej”.

„— Nie puszcza! — krzyczą z dołu — niech czekają!”

„Tym razem czekamy coś bardzo długo, czekamy zawieszeni na łokciach, wparci między wąziutkie ściany otchłani. Józek, który sobie wyszukał jakiejs innej odnogi żlebiku, w żaden sposób nie mógł znaleźć oparcia na nogi. Zrobił więc grymas wyrazisty i wydał głos do jęku zbliżony. Ojciec (Wojtek Roj) dosłyszawszy, wychyla się ponad jakąś sterczącą „turniczkę”, a spostrzegłszy kłopotliwe położenie chłopca, krzyknie:

„— Rosszerzaj się Józek — rosszerzaj się!”

„Pomimo niedogodności położenia, śmiejąc się, nie mogliśmy oczu oderwać od Józka. I tak już dosyć szeroki ze swoją torbą i zadużą czuhą, teraz zrobił się literalnie

szerszym niż dłuższym. Ale przestroga była skuteczną. Powiększywszy rospartemimi nogami i rękami tarcie o boki czeluści, powoli zjechał na upatrzony jakiś prożek, wystający dobrze pod nim ze skalnej ściany i oparł przecie na nim nogę. Wkrótce słyszemy z dołu, że tam „po grani już wozem przejedzie”. Wiemy już co to znaczy. Zsuwamy się kilkanaście stóp, potem po gzym-sie jakiejś grani „przewijamy” w bok, a potem znów „dołu”. I tak przynajmniej sto kilkadziesiąt stóp; potem żleb stał się trochę położniejszym. Na prawo ponad nami sterczą sklepieniem wysunięte nad przepaścią długie bloki spękanych granitów, pod nami mała, rumowiskami zawalona dolinka, a raczej zatoka doliny Pięciu Stawów. Oczywiście zeszliśmy i to bez przypadku, ale nie życząc nikomu téj, napół napowietrznej, podróży”.

Kto zna Tatry, niech sobie przedstawi to zawieszenie w żlebiu, z wysokości którego dolina Pięciu Stawów zdawała się dolinką i niech wyobrazi sobie na téj „drodze” i styl, w którymby to zdarzenie opowiedział...

Główną, zasadniczą, istotną podstawą stosunku prof. Chałubińskiego do Tatr, była ta nadzwyczajna łączność, to wzajemne przenikanie się jego duszy i duszy tego świata górskiego, była ta bezgraniczna sympatya, jaką on odczuwał dla tatrzańskiej natury i ludu.

Lecz sama ta sympatya nie wydałaby jeszcze takich dobroczynnych skutków, żeby się nie przejawiała w człowieku takim, jakim był Chałubiński.

Przyniósł on z sobą w góry swój umysł potężny i równie, a może bardziej wielkie serce, tę dobroć dla każdego żyjącego stworzenia, zacząwszy od człowieka, skończywszy na lichych owadach, a nawet najbardziej nikłych i marnych roślinach.

Z połączenia tych jego przymiotów i miłości do Tatr powstał cały szereg skutków, wywołujących nowe przyczyny i nowe skutki, coraz donioślejszego znaczenia społecznego. Małe z początku zdarzenie: przybycie prof. Chałubińskiego do Zakopanego, wyrasta na jedną z najważniejszych spraw społecznych — olbrzymieje i dziś jest na drodze do bardziej jeszcze gwałtownego, potężniejszego rozwoju, którego ostatecz-

nych wyników nawet nie można przewidzieć.

Prof. Chałubiński, w ścisłym tego słowa znaczeniu, odkrył Tatry.

Wiedzano o nich wprawdzie i przedtem, mówił o ich „Ziemiorodztwie” Staszyc, powtarzano:

„Jak potopu świata fale
...Zamrożone w swoim biegu“.

Przyglądano się baletnikom, tańczącym pseudo-góralskie tańce i jeżdżono do Szwajcaryi, Tyrolu, Turynii i t. d., jeżdżono dla przyjemności, dla sportu i po zdrowie.

A tam stały wspaniałe, samotne, puste góry, dysząc czystym, zdrowym powiewem hal i tulił się u ich stóp lud, który rozmnażając się coraz bardziej, zaciśnięty między беспłodне obszary skalne, skazany był, albo na głód, albo na peryjodyczną emigracyją z ziemi, w której leżało jego bogactwo, jego dobrobyt, sława; z ziemi, w której on szukał zaklętych skarbów, szukał napróżno i niewiedząc co zrobić ze swoim gwałtownym temperamentem, inteligencyją, zapalną wyobraźnią i pragnieniem z bogacenia się, „zbójnikował”, rossadzając więzy społecznego porządku.

I wszystko to zmieniło się dzięki prof. Chałubińskiemu.

On to zrobił, że górale znaleźli nakoniec swoje zaklęte skarby, on to uczynił, że беспłodне, dzikie, głuche doliny zawalone rumowiskami granitów, na których żdźbło trawy nie może się utrzymać, zakwitły takimi plonami, jak najżyźniejsza czarnoziemna rola.

On, kiedy jeszcze nikomu się nie śniło, że zimny i wilgotny klimat górski może być zdrowym, kiedy wszyscy wierzyli w ciepło i suchość, jako konieczne, jedyne obok mleka „prosto od krowy” środki lecznicze dla słabych piersiowo, on pierwszy kazał w Tatrach surowych, o klimacie Laponii, szukać zdrowia i wzmocnienia wątłych organizmów. I trzeba było jego autorytetu, téj powagi, jaką miało jego imię, żeby się odważyć na tak „potworny” poprostu krok, jak zimowanie w Tatrach.

Jeszcze przed czterema laty mieszkała tam stale tylko jedna rodzina, o życiu której opowiadano jak o bajce, — dziś, zwłaszcza od chwili, kiedy sam on zmuszony był

pozostać w Zakopanem, zimowanie w Tatrach staje się czemś bardzo naturalnem, a jutro stanie się koniecznem.

Tylko patrzeć jak pod reglami wznie się wielkie sanatorium i Zakopane stanie się jedną ze znakomitych i sławnych stacyj klimatoleczniczych jakimi jest Davos lub Pontresina.

Niema w Zakopanem, w Tatrach, jednej dobrej sprawy, któraby nie była przez niego zapoczątkowaną, lub dokonaną.

Zakładał on szkoły, budował drogi, tworzył banki, stowarzyszenia, wprowadzał wszystko, co mogło ucywilizować, uspołecznąć, uszczęśliwić lud górski i wszystko, co mogło wpłynąć na rozbudzenie zamiłowania do Tatr w społeczeństwie i ułatwienia mu dostępu i pobytu w tych, do niedawna dzikich, nieznanych światach.

Wszystko, co się zrobiło dotąd i co może się zrobić dla Tatr, dla ludu i czem one mogą być dla reszty kraju, wszystko to jest jego dzieło — ponieważ jest jego myślą.

Ci, co teraz przyjdą, cokolwiek zrobią i jakkolwiek zrobią, będą tylko tymi kamieniarzami co tłuką i rossypują szaber na dro-

dze. Ale sama droga, jój kierunek, jój budowa, jest jego dziełem.

On włożył w sprawę Tatr największe potęgi: myśl i miłość, których nie nie łamie i które zawsze, po dziesiątkach czy setkach lat zwyciężają wszelkie zapory.

Człowiek, czy naród, nieznający wartości rzeczy, będących jego własnością, przechodzący obojętnie bez zwrócenia na nie uwagi, jest w stosunku do nich jak ślepy i głuchy, poprostu nie istnieją one dla niego, nie posiada ich.

I ten, kto wskaże mu ich wartość, jest jego dobroczyńcą, darowuje mu skarby niezmiernie, przy których nieświadomy ich wartości, mógłby zginąć z nędzy i rozpacz.

Prof. Chałubiński darował społeczeństwu polskiemu Tatry, a lud góralski wyratował z nędzy i upodlenia, które go czekało.

Myśl o jego śmierci wywołuje takie wrażenie, jakby jeden z tatrzańskich wirchów — najwyższy i najszczytniejszy — zapadł się i zniknął.

Wiele dziś się mówi o pomniku dla niego: stoi on już gotowy, potężny i niepożyty, a są nim — Tatry.

Stanisław Witkiewicz.

✱

✱

✱

Ku uczczeniu pamięci najgorliwszego badacza Tatr, największego ich znawcy i miłośnika, założone zostało w roku 1888 muzeum tatrzańskie imienia dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Utworzeniem muzeum zajęło się kółko ludzi dobrej woli, wielbicieli cnót i niepospolitój wiedzy s. p. dra T. Chałubińskiego, ożywionych pragnieniem posunięcia dalej badania Tatr polskich pod względem przyrodniczym i etnograficznym.

„Muzeum Tatrzańskie” ma na celu bowiem zgromadzenie zbiorów mineralogicznych, zoologicznych, botanicznych, etnograficznych, antropologicznych i t. p., z Tatr i okolic najbliższych, dalej zebranie okazów wytworów przemysłu miejscowego, a nadto zebranie literatury, odnoszącej się do badania Tatr i Podhala tatrzańskie, a za-

tem odpowiednich dzieł, rysunków, planów i map.

W celu postawienia „Muzeum Tatrzańskie” na trwalszych podstawach, zawiązało się „Towarzystwo muzeum Tatrzańskie im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem”, które zyskało w roku 1888 zatwierdzenie statutu przez władze miejscowe, a mianowicie namiestnictwo galicyjskie.

Towarzystwo, według wymagań swego statutu, uorganizowało się przez skompletowanie członków założycieli, którzy wybrali spomiędzy siebie komitet, złożony z pięciu osób, z prezesem hr. E. Raczyńskim na czele. Komitet jest czynny drugi rok, ma starania o środki utrzymania muzeum, powstałe z wkładów członków założycieli (wynoszących złotych austriackich 200 i więcej), z wkładów członków rzeczywistych (po 10

zł. austr.), z jednorazowych ofiar, oraz z opłat za zwiedzanie muzeum.

Komitet zajął się wynajęciem mieszkania na muzeum, zakupieniem zbiorów zoologicznych od p. A. Kocyana, zgromadził zbiory, ofiarowane przez ś. p. dra Chałubińskiego i p. Stanisława Drohojowskiego, sprawieniem odpowiednich szaf, pudełek, gablotek, oraz uporządkowaniem zbiorów, oznaczeniem i skatalogowaniem i t. p. Komitet zwołał doroczne ogólne zgromadzenie członków założycieli w m. Sierpniu w Zakopanem, na którym oprócz sprawozdania z czynności swój przedstawił projekty do dalszego rozwoju i urządzenia muzeum, a nadto przedstawił kandydatów do wyboru na członków honorowych Tow., z grona osób znanych na polu naukowym.

Muzeum tatrzańskie im. dra T. Chałubińskiego mieści się w Zakopanem, (tymczasowo) na Krupówkach, w domu Krzeptowskiego (obok szkoły koronkarskiej), pod jednym dachem ze sklepem „Towarzystwa przemysłu drzewnego”. Obecnie mieści się w dwu izbach i składa się ze zbiorów następujących:

1) Zbioru zwierząt ssących tatrzańskich (pomiędzy którymi znajduje się kozica, świstak, kozzalki, *Sminthus*) około 40 gatunków).

2) Zbioru ptaków, pomiędzy którymi szczególnie dobrze są reprezentowane ptaki drapieżne i wróblowate, około 270 gatunków. Zbiory te zostały zakupione od p. A. Kocyana, leśniczego w Żuberczu na Orawie.

3) Zbiorku gadów, ziemnowodnych i ryb, przechowywanych w spirytusie (około 10 gatunków).

4) Zbiorku mięczaków nagich, raków i robaków, przechowywanych w spirytusie (10 gatunków).

5) Zbiorku motyli, w części ofiarowanych przez hr. A. Krasieńskiego i hr. Raczyńskiego (syna), a w części zebranych staraniem muzeum (około 50 gatunków).

6) Zielnika roślin jawnokwiatowych tatrzańskich (350 gatunków), ofiarowanych przez dra T. Chałubińskiego i prof. A. Wrzeńskiego.

7) Kolekcji mchów tatrzańskich, zebranych i określonych przez dra T. Chałubińskiego (400 gatunków).

8) Kolekcji skał, zebranych z różnych szczytów tatrzańskich przez dra T. Chałubińskiego (250 okazów).

9) Ze zbiorku etnograficznego, składającego się z różnych ubiorów, statków, sprzętów domowych i t. p. z okolic Czorsztyna, ofiarowanego przez p. S. Drohojowskiego (54 egzempli.).

Nadto muzeum tatrzańskie posiada zaczątek biblijoteki, składający się z kilkudziesięciu tomów dzieł, oraz map i rysunków, odnoszących się do poznania Tatr, ofiarowanych przez dra Lasockiego, Towarz. tatrzańskie, redakcją Pamiętn. Fizyograficznego.

Za staraniem Komitetu, muzeum tatrzańskie im. dra T. Chałubińskiego, otrzyma zielnik roślin tatrzańskich, dokładnie określony, składający się z 1000 gatunków, ułożony (z dubletów Komisji fizyograficznej) w 10-ciu albumach po 100 gatunków w każdym. Nadto zamówione zostały dla muzeum zbiorki mięczaków i much tatrzańskich.

Towarzystwo muzeum tatr. im. dra T. Chałubińskiego stara się o posiadanie własnej siedziby na umieszczenie stałe zbiorów muzealnych, a nadto na urządzenie pracowni koniecznych potrzebnych tak dla wykonywania różnych prac, odnoszących się do urządzenia muzeum, jako też do prowadzenia odpowiednich badań naukowych.

Majątek Towarzystwa obecnie wynosi w gotowości 4000 złotych austriackich, a nadto zbiory muzeum, wartujące około 2 000 złotych austr.

Antoni Ślósarski.

WYJĄTKI ZE STATUTU
TOWARZYSTWA MUZEUM TATRZAŃSKIEGO
im. dra Tytusa Chałubińskiego
W ZAKOPANEM.

§ 4. Członkowie Towarzystwa dzielą się na członków założycieli, członków rzeczywistych i członków honorowych.

§ 5. Osoby, które na urządzenie Muzeum lub jego utrzymanie ofiarowały jednorazowo w zbiorach lub gotowiznie złotych austriackich dwieście lub więcej, są członkami założycielami. Członkowie rzeczywisci opłacają corocznie złotych austriackich dziesięć i mają prawo bezpłatnego wstępu do Muzeum dla siebie i swojej rodziny t. j. żony i nieletnich dzieci. Członkowie honorowi nie wnoszą żadnych opłat i korzystają na równi z członkami rzeczywistymi z prawa bezpłatnego wstępu do Muzeum.

§ 6. Członkowie założyciele wybierają spośród siebie komitet, składający się z pięciu osób, który stanowić ma zarząd Towarzystwa.

Uwaga I. Po upływie każdego roku jeden z członków Komitetu występuje. Przez pierwsze lat cztery pomiędzy występującymi rozstrzyga los, w następnych starzeństwo sprawowania obowiązków.

Uwaga II. Wstępujący członkowie mogą być nanowo wybrani.

§ 8. Do atrybucyi i obowiązków Komitetu należą:

a) Wyszukiwanie środków i sposobów urządzenia i rozwoju Muzeum.

b) Rozkład zajęć w Muzeum pomiędzy członków Komitetu, oraz zaproszonych członków honorowych, rzeczywistych, jakoteż osoby postronne.

c) Mianowanie lub zapraszanie na urząd: kustosa, podskarbiego, gospodarza, konserwatora i innych osób mających obsługiwać Muzeum, oraz ułożenie instrukcyi dla tychże i postanowienie prawideł określających sposób korzystania z Muzeum.

d) Układanie katalogów objaśniających przedmioty umieszczone w Muzeum.

e) Sporządzanie corocznego sprawozdania, oraz przedstawianie dorocznemu zgromadzeniu członków założycieli budżetu do-

choodu i wydatków.

f) Komunikowanie się z instytucjami i osobami, których współudział może się okazać potrzebnym i pożytecznym dla rozwoju Muzeum.

g) Wprowadzanie na listę i przedstawianie dorocznemu ogólnemu zgromadzeniu członków założycieli osób, które objawiły chęć uiszczania opłaty przewidzianej § 5 i zapisania się w poczet członków założycieli, oraz osób mających być zaproszonymi na członków honorowych.

h) Przedstawianie do wyboru kandydatów na członków Komitetu, oraz sporządzanie corocznie listy członków Towarzystwa: założycieli, rzeczywistych i honorowych i przedstawianie jej dorocznemu zgromadzeniu członków założycieli.

i) Zwoływanie obowiązkowego, dorocznego, ogólnego zgromadzenia członków założycieli, w miesiącach sezonu letniego w Zakopanem odbywać się mającego, oraz zgromadzeń nadzwyczajnych, pod przewodnictwem prezydującego w Komitecie lub jego zastępcy.

§ 10. Bliższy nadzór nad Muzeum wklada się na kustosa mianowanego lub uproszonego przez Komitet spośród osób posiadających ku temu odpowiednie uzdolnienie.

§ 12. Muzeum Tatrzańskie imienia dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem, otwarte będzie dla publiczności w dnie i godziny przez Komitet oznaczone. Wysokość opłaty za zwiedzanie Muzeum oznacza Komitet.

§ 13. Towarzystwo Muzeum Tatrzańskie w miarę możliwości i potrzeby ogłasza katalogi swoich zbiorów.

§ 14. Roczne sprawozdania i wogóle wszelkie postanowienia członków założycieli lub Komitetu Towarzystwa na posiedzeniach zapadłe, dochodzą do wiadomości

publicznej przez wywieszenie na drzwiach w miejscu widocznem i przystępnem dla każdego w lokalu Muzeum, w miarę zaś możliwości i potrzeby, drukują się i rossyłają członkom.

§ 15. Towarzystwo Muzeum Tatrzańskiego imienia dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem, na zasadzie ogólnych praw cywilnych, może nabywać nieruchomości potrzebne dla pomieszczenia swoich zbiorów, tudzież zbywać w jego posiadaniu będące.

§ 16. Towarzystwo dla rozwoju swego ma prawo przyjmować ofiary w naturze i gotowiznie.

§ 17. Towarzystwo obiera sobie siedzibę w Zakopanem i posiada pieczęć „Muzeum Tatrzańskie imienia dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem”.

§ 18. Mienie tak ruchome jak nieruchomości Towarzystwa może być obracane jedynie na korzyść Muzeum, jego rozwoju i podtrzymywania. W razie rozwiązania Towarzystwa i zwinienia Muzeum, majątek jego może być odstąpiony tylko innej ogólnej pożytecznej instytucji, stosownie do po-

stanowienia ogólnego zgromadzenia członków założycieli w sposób określony w § 19.

§ 19. Wszelkie postanowienia członków założycieli zapadają na posiedzeniach prostą większością głosów. Do ważności postanowień, potrzebną jest obecność przynajmniej połowy członków. Do postanowień dotyczących zmiany ustawy, rozwiązania Towarzystwa i zamknięcia Muzeum, jak również i do postanowienia w tym wypadku o jego zbiorach, konieczną jest na posiedzeniach obecność dwu trzecich członków założycieli i większość dwu trzecich głosów obecnych. W razie równości zdań, głos przewodniczącego rozstrzyga.

Wybory na członków założycieli i członków honorowych, jako też na członków Komitetu odbywają się przez głosowanie tajne.

§ 20. Członkowie nieobecni na posiedzeniach czy to zwyczajnych czy nadzwyczajnych, mogą się wyłączać przez członków założycieli, umocowanych na piśmie. Jeden członek więcej nad cztery głosy, prócz swego, z pełnomocnictwa mieć nie może.

Buletyn meteorologiczny

za tydzień od 6 do 12 Listopada 1889 r.

(ze spostrzeżeń na stacji meteorologicznej przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie).

Dzień	Barometr 700 mm +			Temperatura w st. C.					Wilgotn. średnia	Kierunek wiatru	Suma opadu	U w a g i.
	7 r.	1 p.	9 w.	7 r.	1 p.	9 w.	Najw.	Najn.				
6	54,2	54,8	56,3	4,2	6,8	2,7	8,0	2,2	94	SW,S,S	0,0	C. dz. mg., wiecz. gęsta
7	56,9	54,5	53,0	5,5	6,2	5,3	7,0	2,2	91	WN,W,WN	4,2	Do poł. mg., r. i w. d. mż.
8	50,2	47,4	48,3	7,2	10,2	6,2	10,2	4,8	89	W,WN,W	4,9	Rano mg., do poł. d. ciągły
9	44,7	42,3	43,4	5,2	7,0	3,0	7,4	2,2	84	W,WN,W	3,7	Po poł. kr., śn. z d. i d. mż.
10	47,3	47,9	50,0	3,0	4,4	2,4	4,8	2,0	86	WN,WN,WN	0,4	Rano d. dr. krótk.
11	54,5	55,6	58,2	1,0	4,0	1,5	4,2	0,2	86	WN,WN,N	0,9	R. śn., pot. śn. z d. i d. krótk.
12	61,9	62,1	62,1	-0,2	2,8	0,9	3,1	-0,6	89	SE,W,W	0,2	Rano śn. z deszczem.
Średnia 752,6				4,0				88		14,3		

UWAGI. Kierunek wiatru dany jest dla trzech godzin obserwacji: 7-ój rano, 1-ój po południu i 9-ój wieczorem. b. znaczy burza, d. — deszcz.

Posiedzenie 16-e Kom. stałej teorii ogrodnictwa i nauk przyrodniczych pomocniczych odbędzie się we czwartek dnia 21 Listopada 1889 roku, o godzinie 8-ój wieczorem, w lokalu Towarzystwa Ogrodniczego (Chmielna, 14).

Porządek posiedzenia:

1. Odczytanie protokołu posiedzenia poprzedniego.
2. Dr Jan Pruszyński „Indol i Skatol”.
3. P. St. Stetkiewicz „O erozyjnym działaniu deszczu”.

Wydawca E. Dziewulski.

Redaktor Br. Znatowicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Ноября 1889 г.

Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.